

Przeprowadzka

Márius Kopcsay

Zawsze podziwiałem alkoholików. Wprawdzie zwodzą nas na pierwszy rzut oka chwiejnym chodem i mętnym wzrokiem, ale ich spojrzenie jest w rzeczywistości jasne, a przemyślane kroki zmierzają do wytyczonego celu. Bycie alkoholikiem jest wspaniałe i godne pochwały.

Już trzeci raz dzisiaj spotykamy z Chłopcem faceta, który w obcisłej, wytartej kurtce i opuszczonych do połowy tyłka dżinsach patrzy nieprzytomnie w pustkę. Sprawia wrażenie, jakby nogi same niosły go przez miasto, to tu, to tam. W rzeczywistości jednak był już w Czarnej Głowie, w której wypił czarne piwo, teraz idzie do Jany na Budvar, a skończy U Henrietty, gdzie za jedyne dwadzieścia koron kupi sobie steina. Ilu z nas może się pochwalić tak konkretnym planem, tak jasną przyszłością? Ja potrzebowałem lat, żeby wypracować podobną strategię myślową. Ale Chłopcu tego raczej nie powiem, wszystkie te zdania zostaną uwięzione w mojej głowie wraz z drobnym guzkiem po ciężkim urazie, dwunastoletni syn z przyczyn wychowawczych usłyszy tylko ocenzurowane: – Już trzeci raz widzimy tego faceta.

Dziś jest dziś, jest styczeń, dni łaskawie stają się coraz dłuższe, prawie niezauważalnie, ale jednak, jest przecież więcej słońca niż przed Bożym Narodzeniem. Wychodzi ono na chwilkę spoza ciężkich szarych chmur, rozjaśnia pozytywną energią ruchliwą bratysławską ulicę, spieszące się auta, przepełnione tramwaje i ludzi, którzy z siatkami wracają z zakupów.

Chłopiec ma grypę, wracamy od lekarki.

– Co będziesz robić? – pyta Chłopiec.

– Co się głupio pytasz? Idę do pracy – odpowiadam mu po ojcowsku.

– Do starej czy do nowej? – pyta znowu, tym razem już całkiem logicznie.

– Do obydwóch – odpowiadam łagodniej. – Do nowej, a potem do starej, podpisać wypowiedzenie.

A potem na piwo, na browarka do Henrietty, dopowiadam sobie w myślach, samemu sobie, choć akurat tej informacji nie musiałbym przed nim ukrywać, przecież był ze mną w tym obiekcie nie raz. W lepszych, spokojniejszych czasach chodziliśmy tam całą rodziną, z żoną i dwójką dzieci.

– Pan tu jest na wczasach? – spytał mnie barman, kiedy pewnego sierpniowego wieczoru po meczu piłki nożnej (mecz, rozegrany przeciwko dwóm bardziej rozgrzanym siostrzeńcom, przegraliśmy 4:10) w krótkich spodenkach i nonszalancko narzuconej kurtce kupowałem piwo i pięć dużych kofoli. Cóż może być piękniejszego od złocistej cieczy, syczącej i wirującej w oszronionym kuflu, od gładzącego kurki i nalewaki barmana, od piany, która ścieka na wilgotną, aluminiową tackę...

Barman już mnie nie pyta, wie, że mieszkam tu od urodzenia, zna również moją paczkę, z którą zawsze wychodziliśmy przed knajpę na świeże powietrze, aż do późnej jesieni, czyli dopóki palce nie zaczęły przymarzać do ściskanego w ręce kufla. Od kiedy przyszła zima, najczęściej chodzę do Henrietty sam, siadam w środku, przy małym stoliku naprzeciwko baru. Czasem spotkam któregoś z dawnych kolegów albo faceta z serwisu samochodowego.

– Co tam? – zagaduje.

– W porządku – odpowiadam.

– W domu mamy ciche dni, raczej siedzę tutaj – ciągnie facet i znacząco kiwa głową w kierunku swojego mieszkania.

– No... u nas też atmosfera gęsta, to siedzę tu – żartuję. Tak, ten rodzaj humoru idealnie pasuje do knajp. Stara się znowu drze. Dzieci wrzeszczą. Teściowa się wścieka. A ja piję, jego mać. Nie będę facetowi z serwisu samochodowego zawracać głowy tym, że u nas teściowe są dwie.

– Co z tą Janą? – pyta teściowa mojej żony. – Już jedzie do domu? Mały płacze.

– Właśnie do niej dzwoniłem, już jest w drodze – odpowiadam teściowej mojej żony. – Miała dużo pracy... w pracy.

– Mały jest senny, chce do mamy – mówi moja teściowa.

– Jest dopiero wpół do szóstej – kręcę głową.

– Chodź, mój mały, minden drága¹, umyjemy uszka, nakakała do nich muszka – mówi moja teściowa. – Faj, ale ta kupka śmierdzi, chodź, wyrzucimy pieluszkę, bo chłopczyk śmierdzi.

Muszę powiedzieć żonie, żeby zainterweniowała przeciwko tego rodzaju naturalistycznemu wychowaniu. Ale jak dotąd nie udało się nam nawet to, żeby teściowa przestała brać Malucha ze sobą do toalety w charakterze przymuszonego świadka załatwiania swoich potrzeb.

– Macie w domu coś do jedzenia? – wzdycha teściowa mojej żony. – Nie miałam nawet czasu, żeby coś zjeść.

¹ Minden, drága – węę. najdroższy, jedyny (przyp. tłum.).

– No przecież wczoraj upiekłem mięso... udko z indyka – odpowiadam pośpiesznie, ale nikt mnie nie słucha.

– Człowiek tu cały dzień skacze, biega, opiekuje się, nie ma nawet czasu, żeby coś zjeść – wzdycha teściowa mojej żony. – Ech. W garnku znalazłam zupe, którą wam ugotowałam jeszcze w zeszłym tygodniu. Nie zjecie jej, a potem...

– Co potem? – pytam. Jestem ciekaw pointy.

– Potem Janka nawet nie ma czasu, żeby ją wyrzucić i umyć garnek. Tak gospodarujecie. Nie dziwcie się potem, że nie macie nic. Na jedzeniu można najwięcej przyszczędzić.

Z dużego pokoju słychać płacz, Maluch wrzeszczy, teściowa jest cała czerwona.

– Fuj, uderzyłeś babcię, jesteś niedobry, babcia już sobie idzie. Bistoś, bistoś². Maluch ze złością miota się po wersalce, babcia w olbrzymiej futrzanej czapie siedzi i wzdycha:

– Jestem cała spocona, pocę się jak świnia, znów mam taki potliwy okres, biorę leki, ale po nich znowu muszę często oddawać mocz.

Jak na komendę wstaje nasz stareński pies, z różowego penisa na panele obficie wycieka mocz, Janka wchodzi do mieszkania i zdyszana mówi:

– Wyprowadzę Rexa.

To jest nasz komisarz Rex i jego metody.

– Już nie musisz – mamrocze teściowa mojej żony.

– Co zrobił? Popuścił? Ludzie, tak nie powinno być – mówi moja teściowa.

– Już dawno powinniście go... uspić – stwierdza teściowa mojej żony. Maluch przestaje płakać.

– Kupimy sobie nowego pieska, młodego – Maluch się ożywia, biegnie do starszego brata i tłucze go plastikową pałką po głowie. – Jestem słowackim policjantem!

– Aj! – krzyczy Chłopiec. W kuchni, na rogu zatłuszczonego stołu leży zeszyt do geometrii, w którym bazgrze tępym cyrklelem.

– Jak tu możesz odrabiać lekcje! – zwraca mu uwagę teściowa mojej żony. – Patrz, jak ten zeszyt wygląda. Jest cały pomięty.

– Kch – kch-kchchchch – charczy pies, dopóki z bezzębnego pyska nie wypadnie na podłogę odrobina śliskiej, brązowej kaszy, którą natychmiast zaczyna zlizywać ze smakiem.

– Co mam robić? – broni się Chłopiec. Jest już duży. – W całym moim pokoju są zabawki Malucha. Wszędzie jest bałagan.

Żona ubiera gumowe rękawiczki i bierze do ręki ścierkę.

– Idę to posprzątać. W pracy mnie pogania szef, a w domu... ech... – mówi do siebie po cichu, ale tak, żebyśmy usłyszeli.

– Lepiej już pójść – mówi moja teściowa.

² Bistoś, bistoś – dial. wsch. słowac. z okolic miasta Šariš: z pewnością, naturalnie, naprawdę; tu w znaczeniu: tak, tak (przyj. tłum.).

W najlepszym wypadku tego rodzaju sceny mnie ominęły, bo sterczałem w ro-
bocie.

– Gdzie ten Krystian się włóczy? – pytała się moja teściowa. Co ona tam
wie o zakładaniu bankrutującej firmy – denerwuję się w duszy. Mógłbym
o tym w sumie opowiedzieć znajomemu z serwisu, ale on pracuje w sprawnie
działającym międzynarodowym koncernie. Trabant, Wartburg, Barkas. Coś
równie wspaniałego miała sobą reprezentować nasza Agencja. Ale jak to wy-
tłumaczyć pracownikowi, który dzień w dzień usłużnie wita klientów w uni-
formie Barkas?

– Moje uszanowanie, kłaniam się nisko, życzy pan sobie wyregulować dwu-
suwowy silnik, pańskie pierdy nie są wystarczająco synchroniczne? Ma pan
wrażenie, że z rury wydechowej wydobywa się zbyt mało dymu, że samochód
za mało podskakuje, zanim się rozpędzi?

– Wie pan, to jest wymagająca praca – mówię mu, wycierając białą pianę
z wąsów. Piana w dobrze nalanym piwie powinna utrzymać się przynajmniej
pięć minut, ale tyle czasu jej nigdy nie dałem. – Człowiek idzie rano na nara-
dę, na której go porządnie ochrzanią... Wie pan, do naszego działu się doczepi
każdy, to jest dział zadań niewykonalnych. Potem trzeba przydzielić zadania,
nadzorować, po południu kolejna narada, masa całkowicie schematycznych,
rutynowych czynności, wie pan, to nie ma nic wspólnego z twórczą pracą,
jakby ktoś mógł sądzić.

Ale dlaczego ktoś miałby sądzić, że to właśnie moja praca jest twórcza? Kto
ją dzisiaj ma? Autorzy reklam, z których wynika, że właściciele telefonów ko-
mórkowych to cool snowboardziści, a lśniący śnieg umyka im spod młodych
nóg, albo retrodiskomaniacy w białych dzwonach i z różową torebką nie-
dbale położoną na barze?

– A wieczorem, wieczorem wracam do domu i widzę, jak moje dzieci śpią...
Zjem coś, telewizor włączę po to, żeby go wyłączyć, a rano znów to samo,
z przewierzoną głową, na naradę i tak w kółko – dodaję patetycznie. – A przy
tym zarabiam praktycznie mniej niż osiem lat temu. Rozumiecie? A tak real-
nie... jeśli weźmiemy pod uwagę, ile kosztuje gaz, prąd, wszystko... to może
być nawet o jedną trzecią mniej niż kiedyś.

Facet z Barkasu i barman ze stoickim spokojem słuchają mojej śpiewki, a kiedy
przychodzi kolej na następnego faceta z posranym życiem, ja już wesoło zmie-
rzam w kierunku domu, otwieram drzwi i wchodzę do ciemnego mieszkania,
w jednym pokoju teściowa mojej żony drzemie nad krzyżówką, w radiu cicho
leci audycja o śmiertelnych chorobach, w drugim pokoju Maluch desperacko
miota się na wersalce, od pięciu godzin bezskutecznie stara się zasnąć, obok
niego zagrzebana w koc, w dżinsach i swetrze słodko śpi żona. Chłopiec leży
niewygodnie zwinięty w fotelu, stół w kuchni jest cały zawalony talerzami,
wszędzie walają się niedojedzone papryki, bułki, czekoladki, szklanki z niedo-
pitymi sokami, nigdzie nie można zaświecić światła, nigdzie nie można usiąść
i nie ma dokąd uciec, bo knajpa już zamknięta.

– Jedna pani, której zmarł mąż, jest sama, dzieci ma w szpitalu, właśnie mówi w radiu o tym, jak ważne dla ludzkiego organizmu jest wapno – teściowa mojej żony wychodzi z ukrycia. Daremnie próbuję uciec do komputera i odizolować się od świata za pomocą słuchawek, teściowa mojej żony szarpie mnie zimną ręką za ramię. Widzę, jak otwiera usta, lepiej będzie, jak ściągnę słuchawki z uszu...

– Magnes i potas też, powinieneś to brać na wypadanie włosów, a te czerwone plamy, które masz na nogach, powinien zobaczyć lekarz, a co, jeśli to jest... Jeśli to są...

To gdzie właściwie mam iść? Co mam robić? Odczucia człowieka po alkoholu są nasilone, ale trudniejsze do artykulacji. Chciałoby się je opisać, ale się nie da. Nikt go nie rozumie. Chcę odpisać na mail, ale gdy tylko otworzę Outlook, zapominam na który. Dlatego muszę przejrzeć wszystkie maile z ostatnich kilku dni, wtedy jest szansa, że rzuci mi się w oczy właśnie ten, od kolegi... Ale co to chciałem powiedzieć? Staram się sobie przypomnieć, ale to prawie tak niewykonalne, jak gdybym chciał wziąć snowboard i na nim zjechać, no po prostu się nie da, macham ręką, kładę się obok skulonej, śpiącej w ubraniu żony, jakoś dotrwam do rana, rano sobie powiem, że jakoś dotrwam do wieczora, a wtedy pójdę na piwo do Henrietty. Nie tylko statki mają żeńskie imiona, knajpy też, dlatego że rekompensują mężczyznom ich nieistniejące życie erotyczne i seksualne... Chociaż w knajpie też można, na swój sposób, przeżyć seksualną przygodę... Ale dlaczego mi to teraz przyszło do głowy?

Ach tak, w listopadzie, kiedy jeszcze mój brzuch nie był tak obrzydliwie ciężki, kiedy wydawało mi się, że jestem lekki i świeży, kiedy medytacyjnie pochylony do przodu siedziałem na piwie u Henrietty i obserwowałem przybrudzone płytki, nagle zadzwonił telefon, zdębiałem i powiedziałem:

– Cześć...

Dzwoniła Lenka Szczęśliwa, że już znalazła sobie mieszkanie, że jej chłopak z kolegą wynoszą rzeczy z auta na górę, a ona je układa... i dzwoni do mnie. Lenka Szczęśliwa ma dziewiętnaście lat, szeroki, zachwycający uśmiech i dzwoni właśnie do mnie, do przeciętnego czterdziestolatka, który właśnie stracił szansę na zrobienie kariery, nie ma pieniędzy, wyższego wykształcenia, bicepsów, jakimi dysponują bohaterowie reality show, który codziennie chodzi do knajpy, a jednak, jak się okazuje, nie jest całkiem do niczego.

– Zobaczymy się jutro? – Lenka szczebiocze do telefonu.

– Jutro idziemy oglądać te domy... – mówię, palcami prawej ręki rysując kreskę na oszronionym kuflu. – Zadzwonię.

– Na razie, chłopaki – barman żegna grupkę wychodzących panów, mają około sześćdziesiątki.

– To do czwartku – krzyczy jeden z nich, opalony, żyłasty, świeżo wyglądający pan. Koledzy ze szkoły? Wioślarze? Szachiści? Czy do któregoś z nich zadzwoniła, żeby zaprosić go na randkę, dziewiętnastoletnia dziewczyna? Czy barman zauważył, jak się zarumieniłem? Nie wydawało mu się podejrzanym, że

– tak szybko zamówiłem kolejne piwo i kupiłem papierosy? Opowie o tym w domu? Znaczą się u mnie w domu?

– Czyli pan nie pali od Nowego Roku? Ja ostatni raz zapaliłam w listopadzie, wtedy jeszcze był u mnie Lajos, przed jego śmiercią, pracowaliśmy razem, on mi zawsze powtarzał: „Sonia, uważaj na Irenę, bo to kurwa”, razem rozkręciliśmy firmę, paliłam wtedy nawet czterdzieści dziennie, ale potem mi lekarka powiedziała: „Pani się nie leczy”, a ja się jej pytam: „Dlaczego pani na mnie krzyczy?”, to Irena mnie tak denerwowała, że musiałam palić.

Boże, już jest dziś! Tak jakby mnie ktoś wyrwał z drzemki, jest dziś! – stwierdzam ten istotny fakt. Inna data! Inny rok! Pani Zuzanna gestykuluje mocnymi rękami, rozpościera się przede mną jak bogini zapomnianych wrażeń, przeżyła już wszystko, pracujemy razem od miesiąca, a ona nie zdążyła mi opowiedzieć nawet ułamka swojego życia, zrozumiałem, że w jej obecności nie uda mi się nic w Kancelarii zrobić, ale właściwie wciąż nie wiem, co wchodzi w zakres moich obowiązków. Jak na razie o nic nie pytam, cieszę się, że nie muszę wracać z pracy późno wieczorem i że nie czekałem w Agencji na jej całkowity upadek, który szefowie po Bożym Narodzeniu z dumą ogłosili ostatnim pracownikom.

– W końcu się udało! Zamykamy!

– To oni zamknęli? – pyta pani Zuzanna. Potem wsadza nos do mojej filiżanki z kawą i zapamiętała wdycha jej aromat.

– Pije pan dobrą kawę. Naprawdę pan rzucił palenie? Ja przestałam, kiedy Laco skołał... Zna pan Laca Skonała? Był naszym doradcą finansowym, było ich trzech, Laco Skonał, Jano Zdechł i Peter Opuścił.

– Muszę porozmawiać z doradczynią finansową – mówię pani Zuzannie. Już jest styczeń, dni stają się delikatnie dłuższe, słońce wyżej świeci na niebie, ulice w Bratysławie prezentują się niezwykle pesymistycznie, znaczy się optymistycznie, zabawne, jak alkohol potrafi pomieszać człowiekowi podstawowe pojęcia. Z doradczynią spotykamy się w eleganckiej restauracji. Młodzieńcy mają wypomadowane włosy, stylowe dzinsy, dziewczętom z dekoltów obcisłych bluzek wylewają się cycki, solarmiana opalenizna, kilku mafiosów o sinych łbach ma tu wszystko pod kontrolą, gdyby komuś nie pasowało, gdyby ktoś narzekał, oni go, chuja, postawią do pionu, na wielkim ekranie właśnie leci teledysk Miro Jaroša, w radiu drą się rapujący Murzyni, po chwili zmiana, Murzyni na ekranie, a Jaroš w radiu, podobny audiowizualny miks leci teraz we wszystkich bratysławskich knajpach.

– To pewnie pana ulubiona knajpa – mówi doradczyni. – Widzę, że czuje się tu pan jak w domu.

Jak jej to przyszło do głowy? Moje ulubione miejsce to knajpa w drewnianej budzie na rogu. To tam pobiegłem na dwie setki rumu w pierwszy dzień w nowej pracy, w Kancelarii, tam uciekłem, gdy w trakcie pierwszej narady uświadomiłem sobie, że żona dostała ataku zazdrości i nie chce się przyznać, bo grzebała w moim telefonie i znalazła jakieś dziwne esemesy...

– Serio, nie mam pojęcia, o co chodzi, to jakaś pomyłka – mówiłem przez telefon. Alkoholik, któremu zaczyna szwankować pamięć, ma przynajmniej uniwersalne alibi. W tym czasie nogi same niosły mnie do drewnianej budy, oczy здаwały sobie sprawę, że rum tam kosztuje osiemnaście koron, a usta przekonywały, że jest całkiem dobry, chociaż to nie jest prawdziwy „rum”, lecz jedynie „um”.

– Tak, panie Krystianie, tę hipotekę może pan wziąć, ale powinien pan pomyśleć też o emeryturze, wystarczy, jak pan podpisze kilka papierów i wykupi polisę przynajmniej u trzech ubezpieczycieli – mówi doradczyni w stylowej kawiarni. Mafiosi obserwują, jeszcze nas tu nie widzieli. Jak na razie nie mają powodu, by do nas strzelać. Doradczyni zielonym markerem podkreśla nagryzmoloną na papierze sumę.

– To jest pana dochód?

– Był... ale Agencja, dla której wciąż jeszcze poza etatem pracowałem, właśnie zbankrutowała, czyli tej pracy już nie mam... czyli mam o dziesięć tysięcy mniej. Pensja w Kancelarii nie jest Bóg wie jaka... Wie pani, formalnie wychodzi mniej, niż zarabialiśmy z żoną osiem lat temu. A tak realnie... jeśli weźmiemy pod uwagę, ile kosztuje gaz, prąd... może być nawet o jedną trzecią mniej niż kiedyś.

Mimo to jeszcze przed zimą byliśmy z żoną obejrzeć parę domów, które mogłyby powiększyć naszą przestrzeń życiową przynajmniej do najmniejszego znośnego rozmiaru.

– Jak ci będzie ciasno, po prostu przyjdiesz do mnie – powiedziała bez oporów dziewiętnastoletnia Lenka Szczęśliwa. Tylko że ja musiałem szybko skończyć rozmowę i wsiąść do auta jakiejś nadętej pani z agencji nieruchomości. W aucie już siedzą żona i Chłopiec, Maluchem opiekują się w domu burkliwie teściowe, a pies Rex im ze wszystkich sił pomaga.

– Ten domek jest trochę mniejszy, ale przytulny, właściciel już na nas czeka...

– Nadęta Pani z Nieruchomości powtarza wyuczone kwestie. Parkuje przed knajpą, przy głównej drodze. Na chodniku zatacza się czerwonawy facet, spodnie ma spuszczone do połowy tyłka.

– Mojea Mojeuszszszanowanie – bełkocze na przywitanie. – Tu... Tujess... Tego... Nie pokażę wam całego domu... Uk... Uk... Ukraińcy tu mieszkają i zamknęli... Pokój sobie zamknęli.

Facet z namaszczeniem otwiera blaszaną bramę, owiewa nas ciemność, wali na nas jak nagromadzona woda, okna kulą się przy ziemi. Nie licząc zamkniętego pomieszczenia, oglądamy jeszcze tylko pokój gościnny i sypialnię, po podłodze walają się pety i butelki po piwie, szczerzą się na nas pootwierane resztki zaschniętych konserw. W przytulnej kuchni milcząco brzęczą gliniane garnki, wypełnione przypalonymi zupkami instant.

– Prawda, że miło? – mówi Pani od Nieruchomości. Ja się czuję lekko, jak zawsze, kiedy wiem, że nie muszę mieć się na bacności, nie muszę się w nic angażować, to, co się dzieje, dzieje się bez mojego udziału. Tylko że muszę skorzystać z toalety, ale w tym domu się nie da, nie ma tu żadnej toalety,

mieszkańcy wychodzą na zewnątrz, w krzaki, ja idę do knajpy i żeby ukryć przed barmanką, że chcę skorzystać z toalety, kupuję setkę, a żeby przed rodziną i Panią od Nieruchomości ukryć, że kupiłem setkę, zamawiam jeszcze żółtą oranżadę. Pani od Nieruchomości widzi mnie, jak wychodzę z knajpy z butelką żółtych siuszków, zapala silnik, siadam obok niej, z przodu, na siedzeniu śmierci, odwracam się w jej stronę i spokojnie, z wódczanym oddechem mówię:

– Możemy jechać. Dziękuję, że pani poczekała.

Kolejny dom jest pełen karkołomnych schodów, które donikąd nie prowadzą, nie ma tu żadnych pomieszczeń, są tylko korytarze, schody, katakumby. Starsza pani z dwiema kulami i starszy pan z olbrzymią laską człapią to tu, to tam, starszy pan co chwilę szermuje swoją lagą i mówi:

– Tutaj sobie doprowadziliśmy ciepłą wodę, stąd idzie taki wąż na zewnątrz, tam mamy pompę i instalację rozprowadzającą, czyli jak się włączy emszołstkę, to idzie nam to praktycznie na nocną taryfę, ale ciągnie powietrze z szamba, które... Wicie, jak sobie tu położycie papę albo laminat, będziecie mieć energię prawie za darmo. Jeszcze więcej można zaoszczędzić, jak sobie tę izolację nalepicie też na ścianę... To muszą być efpiętnastki. Takie płytki, które się ohebluje i położy na drewniane profile. Widzicie?

– Chcielibyśmy tu zostać, ale nie możemy, te schody, już nie dajemy rady... – zdyszany głosem mówi starsza pani. – Już zaczęłam pakować kompoty.

– Tiso był dobrym prezydentem – szepcze mi starszy pan do ucha.

– Wszystko się tu da ładnie przerobić – mówi Pani od Nieruchomości, ale jej replika najwyraźniej dotyczy kolejnego domu, który jest zbudowany do połowy. Byłą rozespaną seksbombę zostawił facet i została tu z synem Piotrusiem sama, ale syn jest zdolny, naprawia auta, dom jest pełen części, we wszystkich pomieszczeniach leżą wycieraczki, przednie szyby, wsteczne lusterka, akumulatory, gumowe wężyki, fotele, zbiorniki na benzynę, po przybytku roznosi się smród oleju i żelaza, na podwórku na łańcuchu szarpie się wściekle pitbull.

– Dianka uwielbia gości – mówi pani i prosi Piotrusia, żeby ją złapał, niech sobie goście zobaczą podwórko. Na podwórku, w wysokiej trawie kulą się przód opla i tył golfa, kilka podwozi i kół, kierownice, tłumiki, zasmarowane biegi, półosie, wały korbowe i paski klinowe. Dianka sapie ze złością w skórzany kaganiec, wygolony Piotruś trzyma ją mocno w umięśnionej ręce. Łyknęłaby naszego komisarza Rexa jak precelka, jak malinę, jak ja kolejną setkę w małym bistro na rogu, zanim nadęta Pani od Nieruchomości zapali silnik, by ruszyć w kierunku następnej wsi.

Dom rodzinny we Wsi jest przestronny, mimo zmierzchu jest w nim dużo światła, pod nogami kręcą się psy i koty. W kominku pali się ogień, w strumyku na końcu ogrodu szumi chłodna listopadowa woda. Tak, to musiało być jeszcze pod koniec listopada, kiedy żona dopiero zaczynała być zazdrosna i nie robiła scen. Nie podejrzewała jeszcze, że do mojego telefonu jeden za drugim wpelzają esemesy, że Lenka Szczęśliwa zaprasza mnie na wino. +

Ostatecznie i tak zamówiliśmy tylko kilka kieliszków czerwonego wina (Račianskiej Frankovki, którą się ponoć leczyli austriaccy kosmonauci) i nawet się nie pocałowaliśmy na pożegnanie. Przecież... Ale właściwie dlaczego? – Dlaczego właściwie chce pan mieszkać pod miastem? – pyta doradczyni, ale nie potrafię jej odpowiedzieć, chyba dlatego, że tam się lepiej żyje, tam jest czystsze powietrze, promienne niebo w nocy, a ja mogę sobie brzdękać na gitarze, ile chcę.

– Te dojazdy, te biedne dzieci, ile się najeżdżą autobusami, wy nie wiecie, co to znaczy – mówi teściowa mojej żony. – Jak długo tak chcecie żyć? Mały nie ma nawet swojego pokoju, a duży się z wami gniecie na jednym łóżku albo musi się kulić na kanapie, nie da się tu gotować ani jeść, a pies ciągle robi pod siebie. Już dawno powinniście go byli uśpić.

Idę do swojej byłej pracy, do Agencji, żeby coś podpisać, zakończyć albo rozpocząć. Korytarze naszego niegdyś ruchliwego miejsca pracy są puste, ile się tutaj naflirtowałem z Lenką Szczęśliwą, ile się nadzwoniłem do żony, że wrócę później, że mam dużo pracy, że po drodze zrobię zakupy w sklepie... Dzisiaj pani Knajpiana siedzi tu sama, wyszczerbione styczniowe słońce świeci jej w okna, kancelarie są pozamykane, zapieczętowane, zamyka się firmę.

– Nie wie pani, kiedy przyjdą wypłaty za grudzień? – pytam tęsknie Knajpianej. – Miały przyjść piątego, ale przesunęło się na dziesiątego, potem na dwudziestego, a definitywny termin jest pod koniec miesiąca.

Wychodzę przed budynek, w którym już nie mam czego szukać, kieruję się w stronę cukierni.

– Fernet i ptys z kremem, jak zawsze? – mówi z pamięci świeża pięćdziesięcioletnia sprzedawczyni, biegun przeciwny barmana z Henrietty, seksapilu jej nie brakuje i też potrafi czule głaskać kufle i butelki, pociągająca i destrukcyjna dla mężczyzn kombinacja wszystkich kobiecych powabów.

– Dawno pana nie było.

Tutaj też kiedyś byłem z Lenką, ale potem, po wypiciu drugiego fernetu i wysłuchaniu, jakie mam magiczne spojrzenie i jak jej chłopak jest o mnie zazdrosny... Potem wyszedłem na zewnątrz, na mroźne, listopadowe powietrze i dzwoniłem... tylko do kogo?

W drodze do domu, po konsultacji z doradczynią finansową, zahaczam o targ, o sklep, kupuję knedle i kiszoną kapustę, marchewkę, pomarańcze, jabłka, w masarni suche salami i tłusty, przerośnięty boczek, który się upiecze razem z kilogramem karkówki, niech to diabli wezmą, po świętach mam i tak o siedem kilo więcej niż przed nimi, przynajmniej mnie szybciej szlag trafi. Ulice są spokojne i puste, znów po długim czasie cieszę się z tego, że nie wracam z pracy po ciemku, czyli że wracam wcześniej, słońce świeci na reklamówki, które wrzyna mi się w dłonie.

– Tylko kretyni, idioci i drobnomieszczanie chcą mieć światło w mieszkaniu – krzyczy teść, którego przyszliśmy odwiedzić, i w ten sposób daje mi wreszcie do zrozumienia, co o mnie myśli. Dom na Wsi, z kominkiem, był zwrócony

na południe i słońca w nim było w bród... Cena też jest korzystna, nawet dla biedaka, którego pracodawca bankrutuje dwa razy w roku, który w końcu zatrudni się w Kancelarii Kulturalnej i nawet to minimum, co zarobi, przepije i przehula z cudzymi kobietami.

– Cześć, Maluch – mówię do młodszego syna, wchodząc do mieszkania z reklamówkami wrzynającymi się w dłonie.

– Chcę mieć policyjne auto – krzyczy Maluch i tłucze mnie plastikową pałką gdzie popadnie. Babcie go rozpieszczą, stwierdzam ze złością. Starszy syn nie był taki dziki. Rozzłoszczona teściowa mojej żony zamyka się w pokoju. Czyżby czytała mi w myślach?

– Co ci jest? Złosisz się? – pytam.

– Odczep się łaskawie ode mnie – syczy złośliwie i trzaska drzwiami. Włącza radio, w którym radzą, jak za pomocą octu jabłkowego walczyć z nadwagą i śmiercią. Codziennie rano szklaneczka i życie jest wieczne, choć cierpkie.

– No to ja idę – mówię, a moja teściowa w futrzanej baranicy na głowie pyta powietrza:

– Co mu się stało? Zwariował?

Siedzę u Henrietty i piję drugie piwo, przy stole obok siedzą duży i mały facet, mały siedzi i milczy, duży krzyczy:

– Kobiety zawsze ci przynosiły nieszczęście, ta Magdalena, ona cię zniszczyła, słyszysz?

Po chwili przychodzi facet z Barkasu, za nim dwie starsze kobiety, które zamawiają po kofoli i setce rumu.

– Idziemy sprzątać, tam do banku, niech nam czas szybciej płynie – tłumaczą wesoło, chociaż o nic ich nie pytam, oczy im świecą wiecznym płomieniem przełkniętego trunku. Zaczyna padać i nogi same niosą mnie do jakiejś winiarni, w której nie bywam, a jednak wchodzę do środka i kogoś szukam, tylko że go tam nie ma i wiem, że to dobrze, że go tam nie ma, bo trudno byłoby mi wyjaśnić, dlaczego jej szukam, przecież się nie umawialiśmy... Ale dlaczego? Dlatego że przytuliłem ją, kiedy przestraszyła się bezdomnego, który wyszedł z jakiejś bramy? Sama wpadła mi w ramiona, a potem się całowaliśmy, nie mogła się przecież złościć... Wręcz przeciwnie, słodko powiedziała:

– I znowu to samo... Znowu z żonatym mężczyzną.

Ale to nie był głos Lenki Szczęśliwej, bo ten mi kwili do telefonu, że przestałem się nią interesować, że jej nie lubię, że szefowa ją opieprza w pracy... Takie rzeczy to ja sobie mogę wysłuchiwać w domu, od żony, od tego przecież nie muszę mieć kochanki! Najlepiej zrobię, jak pojedę tramwajem na dworzec główny, a potem na Wieś, do naszego przyszłego domu, który nierozważnie łączyć się będzie przez następne lata z moim życiem rodzinnym. Obrażę się i poczekam, aż niewdzięczna rodzina do mnie zadzwoni i przeprosi mnie za to, jaka jest w stosunku do mnie zgrzyliwa i nieprzyjemna, podczas gdy ja noszę zakupy, gotuję, wynoszę śmieci i sprzątam. I żywię ją, choć znowu nie Bóg wie jak.

W pociągu jest przyjemnie ciepło, zamykam oczy, dosiadają się jacyś wracający z pracy mężczyźni. W odróżnieniu ode mnie jadą z pracy do domu, ale już niedługo ja też będę z nimi jeździł.

– Co to tam czytasz? „Na butach przynieśli złoto”... – mówi pierwszy głos. – Jak możesz na butach przynieść złoto?

– My, Rzymianie, lubimy ciepłe dyscypliny sportowe – mówi drugi głos. – Zajmij się swoim krążkiem do hokeja.

Wysiadam we Wsi, na dworcu oślepia mnie nawałnica śniegu i deszczu, który atakuje z czarnej chmury. Pomarańczowe dworcowe światła oświetlają krople lodowatej wody, deszcz smaga mi twarz, na szczęście mam kurtkę, którą dostałem od żony na Boże Narodzenie, żeby mi nie było zimno i żebym był ładniejszy i nie zdradzał.

Święta minęły, nawet nie wiem jak. Nie zdążyłem sobie nawet zdać sprawy z tego, że są. W Wigilię Lenka Szczęśliwa mi napisała, że mnie lubi, ale zareagowałem tylko uśmiechem i pociąłem sobie palec naostrzonym nożem, może przed patroszeniem ryby nie powinienem pić dwóch setek domowej śliwownicy, tylko że ja musiałem to zrobić, żeby to Boże Narodzenie móc w ogóle jakoś przeżyć. Stwierdzenie, że alkoholicy topią depresję i smutki w alkoholu, jest zwykłym frazesem, bo tak naprawdę, jak każdy normalny człowiek, zdają sobie oni sprawę z tego, że nie potrafią żyć, nie są zdolni do dźwignania życia na swoich wiotkich barkach, a alkohol pełni funkcję podtrzymującego kręgosłup stelaża, żeby ten wytrzymał napór, olbrzymi ciężar egzystencji. W pierwszy dzień świąt byli u nas teściowie, a młodszy syn spadł z łóżka i uderzył się w głowę. Przestraszyłem się i obwiniłem żonę, pokłóciliśmy się... I już po świątach, została po nich kurtka puchowa, której w ostrym deszczu i deszczu ze śniegiem nie umiem zapiąć, i jeszcze brzuch, siedem dodatkowych, haniebnych kilogramów, które całkowicie wymazały, anulowały okres, kiedy czułem się szczęśliwy, szczupły, świeży... Już nawet dokładnie nie pamiętam dlaczego, wiem tylko, że w knajpie sobie zamówiłem cały obiad, zupę i drugie danie, dwa piwa i trzy papierosy i pomimo to chudłem. Dzisiaj gotuję się w kurtce od żony, a nogi mi grzęzną w brei z najpierw roztopionego, a potem przymarznionego śniegu. Zza śnieżno-deszczowej zasłony widzę ciemny dom z kominkiem, kotami i psami, który oglądaliśmy i chyba najbardziej się nam spodobał... Wtedy, podczas wizytacji, nie zauważyłem, że ulica, przy której stoi dom, jest taka ciemna. Nie zwróciłem uwagi na lodowatą i mętną wodę rwącą w strumyku przy drodze, nie pomyślałem, że nie ma tu Henrietty ani innej knajpy, która by mnie przyjęła, przytuliła do swojego obłapianego, podstarzałego ciała i napoiła browarkiem i destylatami, nigdzie żadnego światełka, tylko osobliwie hucząca fabryka psuje większą idyllę. Przejeżdża auto, ochoczo ochlapując mnie od stóp do głów, śnieg i błoto wpadają mi do półślepych oczu, gdyby nie wewnętrzny kaftan bezpieczeństwa, zbeształbym kierowcę:

– Ty chuju!

Ale wiem, że on by się zatrzymał, wydobył ogoloną głowę z fabii z przyciem-

nionymi szybami, przyjebałby mi potwornych rozmiarów pięścią, nadmuchaną od ciężarków i preparatów chemicznych, kopnąłby mnie w nerki, może nawet sprzątnął tu, pośród anonimowej wichury. Uratowała mnie moja niemoc, która pomogła mi uświadomić sobie, że nikt z rodziny nie dzwonił, nie przeprosił i nie błagał, żebym wrócił do domu. Co robić, muszę wrócić sam.

Wracam na dworzec, spadające żywioły biczą moją twarz, która stopniowo obumiera, nawet w puchowej kurtce trzęsę się jak nasz umierający pies. Pod zadaszeniem na dworcu stoją młodzieńcy w kapturach i czapkach z daszkiem, w zdrętwiałych rękach miętoszą zapalone papierosy.

– Kurwa – dociera do mnie fragment ich debaty. – Ojebałeś mnie, ty chuju?

– Pojebany...

– Ja bym go... chuja...

– Pojebany chuj, napierdalał jak... Pojeb... Pierdołę.

Pani Halina Pszczółkowska, literatka i scenarzystka, spod futrzanej papachy z przyjemnością obserwuje ich sprężyste ciała, napisze o nich opowiadanie, co prawda na wulgarne słowa nie będzie w nich miejsca, zatem młodzianie będą mówić:

– Tam do licha, doprawdy takiego plugastwa i mój ojciec nie pamięta.

– Aleśmy nadokazywali, to ci były psikusy!

– Takie czasy zepsucia nastąpiły, nic tylko się tarzać w tym bagnie, wszystko marność.

W pociągu jest chociaż trochę ciepło, globalne dreszcze ustają, w domu będę musiał zdjąć mokre rzeczy i napić się... Jeszcze tylko znieść piętnaście minut czekania na przystanku trolejbusowym, potem już tylko chwilka stłumionym tempem i jestem przed naszym blokiem, nie mam kluczy, muszę zadzwonić, ale nie widzę przycisku z naszym nazwiskiem. Udowodniono, że alkohol niszczy pamięć, może mi umknęło, że się przeprowadziliśmy, tylko dokąd... Do domu po Ukraińcach? Albo na Wieś? Albo żona się zdenerwowała, bo znów odkryła jakiś ślad zdrady? Odeszła?

Nagle czuję powiew szczęścia, ponieważ widzę siebie w knajpie, ale to nie jest Henrietta, tylko inny lokal, telewizor jest włączony, obraz i dźwięk występują razem, synchronicznie, lecą wiadomości, ja trzymam za rękę młodą dziewczynę, przed nami stoją kufle z piwem, a my tylko tak siedzimy i oglądamy wiadomości... Ale to nie mogłem być ja, pamięć znów zawodzi, uboczny i zaniebdywany efekt katartycznych skutków alkoholu, który ma mnie wyswobodzić od ciężaru egzystencji, abym był lekki jak teraz, wystarczy już tylko znaleźć swoją rodzinę, swój dom i gotowe. Może powinienem znów jak najszybciej napić się i ogrzać w knajpie, a potem się w końcu przeprowadzić. Ruszam w drogę i choć na pierwszy rzut oka mogą was zwieść mój chwiejny krok i mętny wzrok, spojrzenie mam w rzeczywistości jasne, a przemyślane kroki zmierzają do wytyczonego celu. Bycie alkoholikiem jest wspaniałe i godne pochwały.